

ARTHUR CONAN DOYLE

MOTOR BROWNA-PERICORDA

THE GREAT BROWN-PERICORD MOTOR

Był to zimny, mglisty, ponury wieczór majowy. Niewyraźne plamki świetlne na Strandzie wskazywały, gdzie stoją latarnie. Jasne okna wystawowe migotały niepewnie w dusznym, przesyconym wilgocią powietrzu, rzucając wokół promienie przytłumionego światła.

Szeregi dumnych kamienic, prowadzące do bulwarów nad rzeką stały ciemne i opuszczone, oświetlone co najwyżej słabymi lampkami strażackimi. Tylko w jednym miejscu padał z trzech okien na drugim piętrze snop silnego światła, przerywający przykrą monotonię długiej linii domów. Przechodnie z ciekawością spoglądali w górę i zwracali uwagę na jasne okna, które należały do Franciszka Pericorda, wynalazcy i elektrotechnika. Daleko w mroki nocy światło jego lamp niosło wieść o niewyczerpanej energii i niezmordowanej pracy, która postawiła go w tak krótkim czasie w szeregu najwybitniejszych kolegów.

W pokoju siedziało dwóch mężczyzn. Jednym z nich był sam Pericord — o orlich, ostrych rysach twarzy, siwych włosach i żywych ruchach, które świadczyły o jego celtyckim pochodzeniu. Drugi — gruby, silnie zbudowany, z niebieskimi oczyma, był to ogólnie znany mechanik Jeremiasz Brown. Niejeden wynalazek był ich wspólną własnością, osiągniętą twórczym geniuszem pierwszego, który drugi wspomógł swymi wiadomościami praktycznymi. Przyjaciele wahali się zawsze, któremu z nich oddać pierwszeństwo. Odwiedziny Browna w pracowni Pericorda o tak późnej godzinie nie były przypadkiem. Sprowadził go interes — ważny interes. Miał on zdecydować o klęsce lub sukcesie całych miesięcy wspólnej pracy, a może i o ich przyszłości. Przegradzał ich długi brunatny stół, poplamiony i strawiony przez kwas solny, na którym wałały się akumulatory Fawe'a, stopy Volty, zwoje drutów i wielkie laski nie przewodzącej porcelany. Wśród stosu rupieci stała, hucząc i turkocząc, maszyna, na którą zwrócone były oczy obu współników.

Mała, kwadratowa skrzynka metalowa połączona była szeregiem drutów z szerokim, stalowym pasem, zaopatrzonym z obu stron w dwa potężne, sterczące na zewnątrz człony. Pas był nieruchomy, lecz oba człony z krótkimi przytwierdzonymi do nich ramionami, obracały się co kilka sekund, przy czym po każdym takim rytmicznym obrocie następowała przerwa. Siła pędowa pochodziła widocznie z metalowej skrzynki. W powietrzu unosił się słaby zapach ozonu.

— A gdzie skrzydła, Brown? — zapytał wynalazca.

— Trudno było je przynieść. Są zbyt duże. Mają siedem stóp na trzy. Ale siła motoru wystarczy do ich poruszania. Za to ręczę.

— Czy aluminium z miedzią?

— Tak jest.

— Popatrz, jak wspaniale pracuje. — Pericord wyciągnął chudą, nerwową rękę i nacisnął guzik w mechanizmie. Człony zaczęły się wolniej poruszać i nagle stanęły. Dotknął sprężyny i ramiona zdrząły, budząc się do swego ruchliwego, metalowego życia.

— Kierowca nie potrzebuje wyteżać sił — zauważył. — Ma zachowywać się biernie i słuchać tylko własnego rozumu.

— Dzięki mojemu motorowi — rzekł Brown.

— Naszemu motorowi — przerwał drugi ostro.

— Och, rzecz prosta — rzekł niecierpliwie jego kolega. — Motor jest twoim pomysłem, który ja wykonałem. Nazwij go, jak ci się podoba.

— Nazwę go „motorem Browna-Pericorda”! — zawołał wynalazca z błyskiem gniewu w swoich czarnych oczach. — Tyś opracował szczegóły, ale myśl jest moja, tylko moja.

— Sama myśl nie stworzy maszyny — rzekł Brown niezadowolony.

— Dlatego też zostajesz moim współnikiem — odparł drugi, bębniąc nerwowo palcami po stole. — Ja zrobiłem wynalazek, tyś go wykończył. To prosty podział pracy.

Brown wydał wargi niezupełnie zadowolony z takiego przedstawienia sprawy. Widząc jednak,

że dalsza argumentacja była beзуżyteczna, zwrócił uwagę na maszynę, która drżała i kołysała się za każdym poruszeniem ramion, jakby lada chwila miała wzlecieć ze stołu.

— Czy to nie wspaniałe? — zawołał Pericord.

— To zadowolające — rzekł flegmatyczny Anglosas.

— To nieśmiertelny wynalazek.

— Przyniesie dużo pieniędzy.

— Nazwiska nasze staną się równie sławne jak nazwiska braci Montgolferów.

— Lub jak nazwiska Rotszyldów.

— Nie, nie, Brown; zapatrujesz się na to zbyt materialnie! — zawołał wynalazca, odrywając płonące oczy od maszyny i przenosząc je na swojego towarzysza. — Nasze majątki to drobnostka. Pieniądze może mieć pierwszy lepszy, chociażby najgłupszy dorobkiewicz. Mam wyższe aspiracje. Prawdziwą naszą nagrodą będzie wdzięczność i zadowolenie całej ludzkości.

Brown wzruszył ramionami.

— Zrzekam się ich na twoją korzyść — rzekł. — Jestem człowiekiem praktycznym. Musimy wypróbować nasz wynalazek.

— Ale gdzie?

— O tym chciałem pomówić. Musi to pozostać zupełną tajemnicą. Gdybyśmy mieli jakąś posiadłość na uboczu, wszystko poszłoby łatwo, ale o odosobnieniu w Londynie nie ma nawet co myśleć.

— Musimy zabrać maszynę na wieś.

— Mam myśl — rzekł Brown. — Brat mój ma skrawek gruntu w Sussex, na wyżynie, w pobliżu Beachy Head. Przypominam sobie, że jest tam wielka i obszerna stodoła niedaleko domu. Will przebywa teraz w Szkocji, ale klucz jest zawsze do mojego rozporządzenia. Moglibyśmy przenieść tam jutro maszynę i wypróbować ją w stodole.

— To byłoby znakomicie.

— O pierwszej odchodzi pociąg do Eastbourne.

— Będę na stacji.

— Weź z sobą przyrząd, a ja zabiorę skrzydła — rzekł mechanik, wstając od stołu. — Jutro okaże się, czyśmy gonili za widmem, czy też szczęście uśmiechnęło się do nas rzeczywiście. O godzinie pierwszej na dworcu Wiktorii. — Zbiegł szybko ze schodów i zginął niebawem w tłumie znużonych, przemoczonych ludzi, którzy nadchodzili i znikali ze Strandu.

Ranek był jasny i jakby wiosenny. Ponad Londynem, na bladym łuku niebios, przesuwały się leniwie delikatne, białe chmurki. O jedenastej Brown wstąpił do Urzędu Patentowego, niosąc pod pachą wielki zwój pergaminu, rysunki i plany. O dwunastej wyszedł uśmiechnięty i otworzywszy portfel, włożył do niego z całą ostrożnością małą ćwiartkę urzędowego papieru. Pięć minut przed pierwszą jego dorożka zajechała przed dworzec Wiktorii. Dorożkarz zdjął z wierzchu powozu dwa wielkie pakunki, podobne do wielkich gąsiorów i oddał je tragarzowi. Po peronie chodził długimi krokami, tam i z powrotem, Pericord, wymachując rękami; jego zapadłe żółte policzki zabarwił lekki rumieniec.

— Wszystko w porządku? — zapytał. Brown w odpowiedzi wskazał na pakunki.

— Motor i pas znajdują się już w wozie bagażowym. Hej! tragarz! Ostrożnie, gdyż to droga i delikatna maszyna. No! — Teraz możemy jechać.

Drogocenny motor włożono w Eastbourne do powozu, a wielkie skrzydła umieszczono na jego wierzchu. Po dłuższej jeździe przybyli do domu, gdzie znajdowały się klucze, a stamtąd ruszyli wprost przez nagie wydmy. Budynek, który był celem podróży, był to zwyczajny biało otynkowany dworek, z szeregiem stajen i przybudówek.

Stał w małej porosłej trawą dolince, u stóp wapiennych skał. Zamieszkały, nie odznaczał się

wesołością, a teraz kominy bez dymu i zamknięte okiennice wywoływały przykre wrażenie. Właściciel zasadził dookoła szereg młodych sosenek i świerków, ale podmulił je ulewny deszcz, tak że dziś stały w melancholicznych grupach, z uschniętymi gałęziami. Było to miejsce smutne i odrażające.

Ale wynalazcy nie zwracali uwagi na takie drobnostki, a odosobnienie było im tym bardziej na rękę. Przy pomocy woźnicy przenieśli swoje pakunki do ciemnej jadalni. O zachodzie słońca daleki turkot kół oznajmił im, że byli wreszcie sami.

Pericord otworzył okiennice i przez brudne szyby przedarło się łagodne światło wieczoru. Brown wyciągnął z kieszeni nóż i przeciął sznury, którymi związane były pokryte sukrem pakunki. Kiedy opadło brunatne okrycie, ukazały się dwa wielkie skrzydła z żółtego materiału. Oparł je ostrożnie o ścianę. Z kolei wypakowano pas, spoidła i motor. Ciemność zapadła, nim złożono wszystkie części składowe. Zapalono lampę i przy jej świetle obaj mężczyźni poprzykręcali śruby, założyli nity i poczynili ostatnie przygotowania do doświadczenia.

— Koniec — rzekł wreszcie Brown, cofając się i spoglądając na maszynę krytycznym okiem.

Pericord nie rzekł słowa, ale twarz jego jaśniała dumą i nadzieją.

— Musimy coś zjeść — wtrącił Brown, wydobywając przyniesione z sobą zapasy.

— Potem.

— Nie, teraz — rzekł — uparty mechanik. — Umieram z głodu. — Usiadł przy stole i zajadał ze smakiem, podczas gdy jego towarzysz, Celt, chodził zdenerwowany po pokoju, z załamanymi rękami i niespokojnymi oczyma.

— A teraz — rzekł Brown, rozglądając się dookoła i strzepując okruszyny — który z nas włoży to na siebie?

— Ja — zawołał jego towarzysz z pośpiechem. — Dzisiejszej nocy dokonujemy czynu, który przejdzie do historii.

— Ale to grozi pewnym niebezpieczeństwem — mruknął Brown. — Nie możemy przewidzieć z całą dokładnością, jak będzie działał.

— To nic — rzekł Pericord, machnąwszy ręką.

— Ale nie ma potrzeby, abyśmy narażali się na niebezpieczeństwo.

— A zatem? Wszak jeden z nas musi to uczynić. Nie. Motor działać będzie równie dobrze, jeżeli przymocujemy go do jakiegoś martwego przedmiotu.

— To prawda — rzekł Pericord z namysłem.

— Obok stodoły leżą cegły. Mam tu worek. Napełnimy go; zajmie nasze miejsce.

— Dobra myśl. Nie widzę przeszkód.

— Chodź zatem!

Wyszli, niosąc części składowe maszyny. Księżyc świecił jasno, chociaż niekiedy zakrywały go postrzępione chmurki. Na wydmach panował spokój i cisza. Nad słuchiwali chwilę przed wejściem do stodoły, ale żaden odgłos nie dochodził do ich uszu, oprócz niewyraźnego poszumu morza i szczekania psa w oddali. Pericord wracał kilka razy po wszystkie potrzebne rzeczy, podczas gdy Brown napełniał cegłami długi, ciasny worek.

Kiedy przygotowano wszystko, drzwi stodoły zostały zamknięte, a na próżnej pace postawiono lampę. Worek z cegłami złożono na dwóch podstawach, a wokół niego przeprowadzono szeroki pas stalowy. Z kolei przymocowane zostały do pasa wielkie skrzydła, druty i metalowa skrzynka z motorem. W końcu przytwierdzono do spodu worka płaski ster stalowy w kształcie rybiego ogona.

— Może krążyć jedynie po małym obwodzie — rzekł Pericord, spoglądając na nagie ściany.

— Przechyl ster na jedną stronę — poddał Brown. — Teraz już wszystko w porządku. Naciśnij guzik i niech rusza w drogę!

Pericord pochylił się naprzód, a jego długa, pożółkła twarz drżała z podniecenia. Białe, nerwowe ręce szukały czegoś między drutami. Brown stał spokojnie, przyglądając się wszystkiemu wzrokiem krytycznym. Nagle maszyna poderwała się. Żółte skrzydła ściągnęły się konwulsyjnie raz, drugi i trzeci, coraz wolniej i coraz silniej, nabierając rozpędu. Za czwartym razem dał się odczuć w stodole silny podmuch wiatru. Za piątym worek z cegłami zaczął tańczyć na podstawach. Za szóstym skoczył w powietrze i upadłby na ziemię, ale podtrzymało go siódme poruszenie skrzydeł, które pchnęło go naprzód. Wznosząc się z wolna, zaczął krążyć w powietrzu, jak wielki niezgrabny ptak, wypełniając stodołę brzęczeniem i szumem. W niepewnym, żółtym świetle jedynej lampy widać było niesamowity przedmiot, niknący w cieniu i wyłaniający się znowu za chwilę w wąskim kręgu światła.

Obaj mężczyźni stali chwilę w milczeniu. Potem Pericord wznosił ręce w górę.

— Działa! — zawołał. — „Motor Browna-Pericorda” działa! — Zaczął tańczyć w upojeniu.

Brown mrugnął oczyma i zagwizdał.

— Popatrz, jak równo idzie, Brown! — zawołał wynalazca. — A ster jak wspaniale działa! Trzeba go jutro zarejestrować.

Twarcz jego towarzysza ściemniała i ściągnęła się.

— Już jest zarejestrowany — rzekł z wymuszonym uśmiechem.

— Zarejestrowany? — rzekł Pericord. — Zarejestrowany! — Powtórzył to słowo najpierw szeptem, potem nieledwie krzyżąc. — Któż odważył się zarejestrować mój wynalazek?

— Zrobiłem to sam dziś rano. Nie ma się co denerwować. Wszystko w porządku.

— Zarejestrowałeś motor? Pod jakim nazwiskiem?

— Pod moim własnym — rzekł Brown. — Sądzę, że miałem do tego prawo.

— A mojego nazwiska nie wymieniłeś?

— Nie, ale...

— Łotrze! — wrzasnął Pericord. — Złodzieju i łotrze! Kradniesz moje dzieło! Pozbawiasz mnie prawa własności. Oddaj mi patent, inaczej wydrę ci go z gardła! — Złowrogi ogień zapalił się w jego czarnych, oczach, a ręce zacisnęły się z wściekłością. Brown nie był tchórzem, ale widząc, że Pericord podchodzi do niego, cofnął się.

— Precz z rękami! — rzekł wydobywając nóż z kieszeni. — Jeśli się na mnie rzucisz, będę się bronił.

— Grozisz mi? — zawołał Pericord z twarzą bladą z wściekłości. — Nie dość, żeś mnie oszukał, chcesz mnie jeszcze nastraszyć. Oddasz patent czy nie?

— Nie, nie oddam.

— Brown, mówię ci, oddaj patent!

— Nie chcę. To moje dzieło.

Pericord skoczył ku niemu nieprzytomny z wściekłości, z błyszczącymi oczyma i zacisniętymi pięściami. Jego towarzysz wymknął mu się z uścisku, ale pchnięty na pakę, przewrócił się. Lampa zgasła i stodołę ogarnęła ciemność.

Promień księżycowego światła, padający z wąskiej szczeliny błysnął na wielkich, poruszających się wciąż ruchem wahadłowym skrzydłach.

— Oddasz patent, Brown? Nie było odpowiedzi.

— Oddasz?

I znowu żadnej odpowiedzi. Cisza zupełna, jedynie tam w górze szum i warczenie. Zimne szpony trwogi i niepewności chwyciły Pericorda za serce. Szukał po omacku w ciemnościach i palce jego natrafiły na czyjaś dłoń. Dłoń ta była zimna i bezwładna. W jednej chwili gniew zmienił się w przejmującą dreszczem trwożę. Zapalił zapalkę, podniósł lampę i zaświecił ją.

Brown leżał rozciągnięty po drugiej stronie paki. Pericord chwycił go obiema rękami i z

konwulsyjnym wysiłkiem przeniósł ponad nią. I teraz tajemnica milczenia jego towarzysza wyjaśniła się. Upadł on na zgiętą w łokciu swoją prawą rękę i ciężarem ciała nabił się głęboko na własny nóż. Umarł, nie wydawszy jęku. Tragedia była straszna, nagła i zupełna.

Pericord usiadł w milczeniu na brzegu paki, patrząc w ziemię przerażonymi oczyma i drżąc, jak w febrze, podczas gdy wielki motor Browna–Pericorda warczał i huczał nad jego głową. Jak długo tak siedział, nie wiadomo. Może kilka minut, ale może i kilka godzin. Tysiąc najbardziej szalonych projektów przebiegło przez jego skołataną głowę. Lepiej będzie uciec, niż oddać się w ręce władz, w poczuciu własnej niewinności. Nikt w Londynie nie wiedział o ich miejscu pobytu. Gdyby dało się usunąć zwłoki, zyskałby kilka dni na czasie, zanim zbudziłyby się podejrzania.

Przywiódł go do przytomności głośny trzask. Bujający w powietrzu worek unosił się stopniowo wyżej, za każdym okrążeniem, aż wreszcie natknął się na belki. Przy uderzeniu rozluźniły się spoidła i maszyna spadła ciężko na ziemię. Pericord odpiął pas. Motor był nieuszkodzony.

Na jego widok przyszła mu nagle dziwna myśl do głowy. Maszyna stała mu się wstrętną. Mógł pozbyć się jej razem z ciałem w sposób, który by uniemożliwił wszelkie poszukiwania.

Otworzył drzwi od stodoły i wyniósł swego towarzysza na światło księżycowe. Złożył go z czcią na szczycie małego pagórka. Potem przyniósł ze stodoły motor, pas i skrzydła. Drżącymi rękoma włożył pas stalowy na zwłoki. Potem przyśrubował skrzydła. U dołu umieścił skrzynkę z motorem, przeprowadził druty i puścił przyrząd w ruch. Przez jakieś dwie minuty ogromne, żółte skrzydła podnosiły się i opadały. Potem ciało zaczęło posuwać się po zboczu pagórka, nabierając stopniowo rozpędu, aż wreszcie wzniosło się w powietrze i poszybowało z wolna w świetle księżycowym. Nie użył steru, ale skierował przód maszyny na południe. Cudaczny przedmiot wznosił się stopniowo coraz wyżej, z coraz większą szybkością, aż wreszcie minął łańcuch skał przybrzeżnych i wydostał się nad spokojne morze. Pericord patrzył za nim z bładą, ściągniętą konwulsyjnie twarzą — w końcu wyglądał on już tylko jak czarny ptak z żółtymi skrzydłami, spowity w mgłę, która leżała nad wodami.

W nowojorskim państwowym zakładzie dla obłąkanych przebywa człowiek z niespokojnie biegającymi oczyma, którego nazwisko i pochodzenie jest nieznane. Lekarze mówią, że stracił zmysły wskutek jakiegoś strasznego wypadku, ale nie mogą podać, co to był za wypadek. „To delikatny przyrząd, który łatwo traci równowagę” — mówią i dla poparcia swoich słów wskazują na skomplikowane maszyny elektryczne i pomysłowe przyrządy do latania, które pacjent lubi konstruować w chwilach przytomności.